



O potrzebie słownika imion własnych.

W języku każdego narodu, zamieszkującego swoją ziemię od prawników, wytwarza się subtelny związek pomiędzy określeniami i pojęciami w dziedzinie topografii, przyrody i rolnictwa a ziemią rodzimą tego narodu.

Związek ten wynika z prostych bardzo przyczyn. Jeżeli bowiem język narodu urabiał się i rozwijał przez kilkanaście wieków na jego ziemi rodzimej, to musiał odzwierciedlać i określać przede wszystkim te cechy fizyograficzne, topograficzne i użytkowe, na jakie naród codzień patrzył, dotykał się ich w życiu powszednim i wytwarzał nazwy, określe-

nia i pojęcia. Związek ten pojęć i mowy z ziemią gniazdową stwierdza słowa Libelta: że ziemia ojczysta jest częścią jestwa każdego narodu, który ją od wieków zamieszkuje, i naród ten jest skibą swej zie-

mi, bo co ona rodzi i wydaje, to, stając się pokarmem człowieka, zamienia się w jego: ciało, krew, kości i ten najcudowniejszy dar Boży, jakim jest aparat umysłu ludzkiego, zwany mózgiem.

Dla użytku praktycznego wystarczają zwyczajne słowniki. Ale do badań naukowych nad związkiem mowy narodu z jego ziemią, życiem i przeszłością, nie-



BRAMA ZAMKOWA W BIAŁEJ PODLASKIEJ.

Fot. T. Grotkiewicz.

Zamek w Białej Podlaskiej wzniesiony został w końcu XVI wieku przez Radziwiłła Sierotkę i pozostawał do ostatnich lat w rękach jego spadkobierców. Do ozdobienia zamku najwięcej przyczynił się Karol Stanisław Radziwiłł, kanclerz wielki litewski, który chętnie w nim przemieszczał. Ostatnimi z Radziwiłłów, którzy tu przebywali, byli: Karol, wojewoda wileński, zwany Panie Kochanku (umarł tutaj dnia 22 listopada 1790 r.), i Dominik, jego synowiec, który zmarł z ran w r. 1813 po bitwie pod Hanau. Następnie dobra Białskie przeszły w sukcesji do Wittgensteinów i Hohenlołów. Pozbawiony opieki wspaniały zamek niszczał zupełnie. Do ostatnich czasów zachowała się tylko piękna brama, odtworzona na powyższej fotografii. I ta jednak ostatecznie strawiona została przez pożar.



zbędnym jest jeszcze alfabetyczny inwentarz wszystkich z obszaru ziemi rodzinnej i przeszłości narodu: nazw miejscowości, zamieszkanymi i niezamieszkanymi, nazw pól, łąk, wzgórz, wąwozów, borów, uroczysk, bagien, rzek, strumieni i jezior, grodzisk, starych cmentarzysk i kurhanów. W tych bowiem nazwach tkwią często prastare pojęcia ludu o charakterze miejscowości, użytkach osiągniętych, sposobie życia praojców i archaizmy językowe.

Nazwy wód i wsi polskich należą do najstarszych imion własnych i zabytków mowy, związanych z ziemią naszą. Przywilej klasztoru tynieckiego pod Krakowem, datowany z pierwszych lat XII wieku, wymienia 15 wsi z pierwotnej fundacji Bolesława Chrobrego, z których przetrwało dotąd bez zmiany 11 nazw następnych: Tyniec, Kaszów, Czutów, Prądnik, Sydzina, Radziszów, Chorowice, Bytom, Siewierz, Gruszów i Łapczyce. Ponieważ Bolesław darował te wsi, jako źródła dochodu dla klasztoru, zatem musiały to być osady starsze i z dawniejszymi nazwami. Przywilej gnieźnieński z r. 1136 wymienia około 30 wsi nad rz. Gąsawą w Wielkopolsce, składających prowincję żnińską. Z powyższej liczby Lelewel na dzisiejszych mapach jedynie 5-ciu nazw nie odszukał, a z 11-tu wsi, wymienionych w prowincyi spicymirskiej, nie znalazł tylko jednej. Jest rzeczą pewną, że mamy w Polsce sporo takich okolic, gdzie, gdybyśmy znaleźli się przed lat tysiącem, to usłyszeliśmyby wiele takich nazwań wsi i wód, które w formie tej samej lub mało zmienionej brzmią w ustach narodu do dziś dnia. To też stare nazwy wiosek małopolskich posłużyły uczonemu badaczowi doby Piastów, Tadeuszowi Wojciechowskiemu, za wątek do wysnucia znamienitej jego pracy o osadnictwie i ustroju społecznym dawnej „Chrobacy”.

W skorowidzach administracyjnych dzisiejszych mamy spisy wszystkich wsi polskich. W zaborze pruskim jest tam wiele zniemczonych, lecz w ogólności jest w tych spisach jeszcze mniej błędów, niż na mapach niemieckich, rosyjskich a nawet polskich. W Słowniku Geograficznym mamy o wielu wsiach dane historyczne lub statystyczne. Ale dzisiejsze badania naukowe potrzebują jeszcze wyczerpującego inwentarza

nazw wsi z zaznaczeniem przy każdej: z jakiego czasu mamy pierwszą o niej wiadomość, jaka była pierwotna pisownia tej nazwy i jak ona brzmi w gwarze ludu.

Równie ważnem jest dla nauki, obok wsi i wód, zinwentaryzowanie wszystkich innych nazw miejscowości na obszarze każdej wioski, które lud utworzył w minionych wiekach, odpowiednio do ich wyglądu fizycznego, flory, użytków własnych, sposobu życia, obyczaju, pojęć i kultury. Aby taki inwentarz był dla badań naukowych wyczerpującym, wejść do niego powinny w znacznej liczbie oprócz nazw miejsc, stare nazwiska i przydomki miejscowych ludzi, związane często z nazwami wsi, uroczysk i gwarą miejscowego ludu. Lud podlaski np. w pobliżu miasteczka Brańska nad rz. Nurcem nazywa pewne uroczysko Kumatem. Zaś stare kroniki wymieniają wśród wodzów Jaćwieży także Kumata, a wiadomo, że okolica ta leżała na szlaku, po którym Jadźwingowie często napadali na Polskę piastowską. W 14-ym wieku książęta mazowieccy nadali kawał ziemi na Mazowszu łomżyńskiem niejakiemu Baczom, od których wieś ich nazwano oczywiście Baczce. Wkrótce były już tam dwie wsie: niżej położone Baczce mokre i wyżej Baczce suche, a w 15-ym wieku widzimy tam licznych Baczewskich, którzy rodem swoim dla odróżnienia ponadawali różne charakterystyczne mazowieckie przydomki.

Wszystkie takie nazwy miejsc i ludzi z dawnych wieków powinny być zebrane w jeden wielki wspaniały słownik ze wskazówkami, z jakiego źródła, czasu i miejsca pochodzą. Tego bowiem wymaga porównawcza metoda naukowa dla pogłębienia badań ogólnych nad dziejami kraju i narodu. Ale istnieje jeszcze, obok powodów naukowych, potrzeba społeczna utrwalenia w podobnym inwentarzu całego pod tym względem dobytku naszej przeszłości. Jesteśmy narodem odwiecznym, jedynym wśród Słowian, który miał tysiącletnią niezależność i pięciowiekową słowiańską dynastję Piastów. Gdy jednak po tysiącletniej walce ze światem germańskim zostaliśmy narodem najwięcej upośledzonym, a inne ludy słowiańskie jeszcze nie dorosły i może nigdy nie dorosną do ogólnej solidarności w obronie swojej, musi-



my sami czuwać nad ochroną własnej narodowości od zagłady. Do takiej samoobrony należy wszechstronne zbadanie naukowe każdej piędzi ziemi praojców, do czego koniecznym jest zinwentaryzowanie całej rodzimej odwiecznej spuścizny w jeden słownik językowo-krajoznawczy.

Źródła do opracowania takiego słownika są następujące: 1) Ogłoszone już kodeksy dokumentów średniowiecznych, często z indeksami wszystkich znajdujących się w tekście nazw i nazwisk. 2) Dokumenty nieogłoszone, ale już do druku przygotowane, np. w liczbie przeszło 700 z wieku XIII, XIV i XV (przeważnie mazowieckie) odpisane z oryginałów przez p. Jana Kochanowskiego dla biblioteki ordynacji Kasińskich. 3) Księgi sądowe z 14-go i 15-go wieku, obejmujące materiały pod względem imion własnych najbogatszy. 4) Inwentarze dominialne t. j. opisy dóbr ziemskich, sporządzane po polsku w kilku ostatnich wiekach, dziś po lamusach i poddaszach wiejskich butwiejące a obejmujące nazwiska dawnych włościan (z powodu ich powinności względem dworu) i nazwy pól (z powodu wyliczanych obsiewów zboża). 5) Lustracje starostw, opisy granic i mapy majątkowe z nazwami pól, wód, uroczysk. 6) Ogłoszone już monografie rzek, wsi, powiatów. 7) Dawne księgi parafialne z metrykami: chrztów, ślubów i zgonów włościan z ich nazwiskami, 9) Sam zresztą lud wiejski przedstawia jeszcze w swej pamięci niewyczerpaną skarbnicę nazw miejscowych.

Profesor Baudouin de Courtenay, pisząc o najstarszych zabytkach języka polskiego, zebrał i alfabetycznie ogłosił sporo nazw miejsc i ludzi z dokumentów średniowiecznych, ogłoszonych przed r. 1868. W wydawnictwach późniejszych materiały odpowiedni wzrósł ogromnie. W moich poszukiwaniach znalazłszy niegdyś w bibliotekach krakowskich i Archiwum Głównem w Warszawie spisy wszystkich wsi całej Korony z 16-go i 17-go wieku, do ówczesnych podatków sporządzone, i odpisawszy je w całości, zapoczątkowałem opracowanie słownika nazw polskich w postaci około 40-tu tysięcy kartek, z których każda dla oddzielnej nazwy jest przeznaczona. Dawne spisy zagrodowej szlachty z Mazowsza i Podlasia do podatku podymnego dały mi kilka tysięcy starych jej

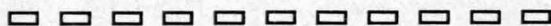
przydomków. Dalej zużytkowałem wielką ilość dawnych inwentarzy dominialnych i planów majątkowych, na których dawni geometrzy wpisywali tradycyjne nazwy poszczególnych miejscowości. Ogółem dotąd zebrałem około 70 do 80 tysięcy kartek z nazwami ze wskazaniem źródeł i dat. Liczba tych nazw jest przecież tylko częścią ogromu, który dałby się jeszcze zebrać, gdyby pracą tą zainteresowało się liczniejsze grono ludzi. Robota bowiem taka może być uskuteczniiona tylko siłami zbiorowymi np. przez rozesłanie odpowiednich szematów do wszystkich parafii w kraju z prośbą o zebranie nazwisk włościan z najstarszych metryk kościelnych i inwentarzów majątkowych, o ile istnieją, oraz nazw miejscowości z dawnych planów i pamięci starszych ludzi. Przy dobrej woli choć jednej jednostki w każdej parafii prosta taka przysługa dla nauki byłaby łatwo wykonaną. Młodzież nasza w czasie wycieczek po kraju lub pobytu na wsi na świętach i wakacjach letnich mogłaby również przynieść pożytek nauce polskiej zbieraniem dokładnych notatek w tym kierunku, również jak i przygodni turyści, odwiedzający zakątki ziemi rodzimej. Nawet notowanie pozornie najpospolitszych nazw nie powinno być wykluczonem. Nieraz bowiem sam ten fakt, że pewna nazwa powtarza się często na danym obszarze kraju, może także być wskazówką naukową.

Opracowanie takiego inwentarza językowo-krajoznawczego nie powinno być odkładaniem, bo niemal z dniem każdym źródła do jego opracowania kurczą się i zanikają. Z własnych spostrzeżeń muszę zaznaczyć, że gdybym nie zaczął gromadzić takiego materiału, będąc studentem Szkoły Głównej przed laty 40-tu, to już dziś wiele źródeł nie dałoby się odszukać i spożytkować. Archiwa majątkowe i stare metryki kościelne giną od wilgoci, od ognia i niekulturalności zarówno szczurów, myszy, jak i ludzi. Starzy wieśniacy, do nazw odwiecznych przywiązani, wymierają, dobra ziemian idą na rozprzedaż, a nowonabywców, przychodzących z innych wsi i okolic, stare miejscowe poszczególne nazwy nic nie obchodzą. Liczne bowiem nieraz nomenklatury, które były konieczne do orientowania się, gdy na danym obszarze gospodarował jeden posiadacz i miała wspólne użytki jedna lub kilka gromad wiejskich, tracą

zupelną potrzebę praktycznego stosowania, gdy dobra idą na kilkadziesiąt części dziedzicznych, a nowonabywcę każdej nic nie obchodzi nazwy poza granicami jego kolonii położone. To też gdy ziemia idzie na parcelację, a zwłaszcza gdy przechodzi w ręce niemieckie, tam nazwy, nieraz piastowskich

lub jagiellońskich sięgające czasów, idą szybko w wiekiową niepamięć. I w miejsce odwiecznych polskich narzucone bywają nowe obcojęzyczne, które za lat kilkadziesiąt jakiś historyk pruski poczyta za dowód osiadłości germańskiej z czasów Tacyta.

Zygmunt Gloger.



DWORY, ZAMKI I PAŁACE.



Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

2. Dwór w Ubielu.

W ziemi Mińskiej, powiecie Iłumeńskim, leży wieś Ubiel, pamiętna tem, że przyszedł w niej na świat twórca „Halki“, „Hrabiny“ i „Strasznego Dworu“. Niegdyś Ubiel należał do dominium Śmiłowicze i był z kolei własnością Sapiechów, Zawiszów i Ogińskich. Pod koniec XVIII w. całe te dobra nabył Stanisław Moniuszko, sędzia woj-

skowy W. Ks. Lit. Po jego śmierci Ubiel przypadł w udziale jednemu z synów, Czesławowi, ożenionemu z Elżbietą Madzarską. Z tych to rodziców urodził się w Ubielu w d. 5 maja 1819 r. Stanisław Moniuszko. Dom w którym się urodził, istnieje do dziś dnia w dobrym stanie, jak to przedstawia załączona fotografia. Po Moniuszkach Ubiel stał się własnością Dzikowskich i w końcu drogą wiana przeszedł do Oziembłowskich, w których rękę dotychczas pozostaje.



O pożytku i sposobie prowadzenia spostrzeżeń deszczowych.¹⁾

I. Pożytek badań nad przebiegiem pogody.

Gdy mowa jest o ważności badań nad przebiegiem pogody w życiu praktycznym ludzkości, wielu przychodzi na myśl jedynie tylko kwestya prognoz meteorologicznych. Pogląd ten, jakkolwiek opiera się niewątpliwie na słusznej podstawie, jest jednak zarazem bardzo jednostronny. Słusznem jest mianowicie, że, gdybyśmy zawsze przewidzieć mogli nadciągającą pogodę, mogli byśmy już zawczasu urządzić się odpowiednio i oszczędzić sobie wiele strat i zawodów. Z drugiej jednak strony istnieje bardzo wiele pytań, dotyczących najżywniejszych kwestyi życia praktycznego i wymagających, dla swego racjonalnego rozwiązania, znajomości przebiegów pogody, lecz nie tylko tych, które były, lecz właśnie tych, które przeciętnie charakteryzują daną miejscowość. Tutaj pożytek zapisywania pogody ubiegłej przez dokonywanie codziennych spostrzeżeń meteorologicznych występuje niemniej dobitnie, niż z prognoz pogody, a nawet niekiedy (jak np. dla przewidywań co do urodzaju, dla urządzeń kanalizacyjnych, budowy torów kolejowych, dla różnych melioracy i t. p.) przynosi bezpośrednie korzyści ekonomiczne, daje się wprost zrealizować na złoto.

Nie dotykając w artykule niniejszym kwestyi prognoz, które dla nadciągającej pogody na czas dłuższy, niż 24 godzin następnych, nie są wogóle dotychczas wydawane przez naukowe biura pogody, zastanówmy się tylko w krótkości nad pożytkiem, jaki z poznania klimatu, a więc ubiegłej pogody, odnieść może racjonalna gospodarka krajowa.

Zaznaczmy przytem należne punkty wytyczne i postarajmy się rozproszyć kilka dość często spotykanych nieporozumień.

Otóż podobnie jak najbardziej celowym orężem w walce o byt jest poznanie dokładne wroga, tak też jedynym sposobem, który nam pozostaje w walce ze zjawiskami przyrody, jest zbadanie gruntowne odnośnych przebiegów i terenu, na których one zachodzą. Racjonalne dążenie do poznania prawdy jest treścią wszelkiej nauki; ten cel ideowy, który sam w sobie ma rację, jest zarazem koniecznym etapem i warunkuje wypływające zeń korzyści praktyczne.

Każdy człowiek rozsądny, choćby najbardziej utylitarnie traktował swe przedsiębiorstwo, nie będzie negował potrzeby zestawiania dochodów i wydatków, układania tablic statystycznych, jednym

słowem rejestrowania przebiegu produkcji ubiegłej i bieżącej — mimo, że czynność ta wymaga nakładów dodatkowych i nie połączona jest z zyskiem bezpośrednim.

Jeżeli w wielu gałęziach techniki (jak np. w kanalizacyi, w regulacyach rzecznych, budowach dróg i t. p.) potrzebę rejestrowania pogody ubiegłej nasuwaą pierwszorzędne względy ekonomiczne, to potrzeba spostrzeżeń klimatycznych jest szczególnie ważną dla rolnika, który swe prace nad produkcją roślinną dokonywa na otwartem powietrzu, i najistotniejsze z tych czynności w wysokim stopniu zależą od zmiennego stanu pogody.

Krótkowzrocznym, a nawet naiwnym nazwać musimy każdego rolnika, który, nie przecząc oczywiście wpływowi atmosfery na wzrost roślin i charakter urodzaju, nie widzi pożytku, jaki wpływa dla rolnictwa ze spostrzeżeń nad przebiegiem pogody. Nie jest wprawdzie w naszej mocy ani wywołać deszczu, ani mu przeszkodzić, nie możemy usunąć suszy ani przymrozku, ale wnioskowanie stąd o nieużyteczności spostrzeżeń nad pogodą byłoby równie niesłuszne, jak rozumowanie np. lekarza, któryby, widząc, że charakter działania i skuteczność jego lekarstwa zależy od stanu i przebiegu gorączki w ciele chorego, nie chciałby mimo to posługiwać się termometrem.

Ten fatalizm szkodliwy jest dla wszelkiego zdrowego postępu i prowadzi tylko do zgubnego zastoju.

Gdy wiele czynników wpływa na rozwój i urodzaj pewnej rośliny, czyż nie jest zasadniczem i ważnem poznanie części wpływów, która przypada na każdy z współdziałających czynników? Gdy stosujemy do danego pola pewną ilość specjalnych substancji użyźniających w celu zwiększenia jego wydajności, musimy liczyć się z wpływem dwóch czynników, istniejących jednocześnie, a mianowicie z wpływem przebiegu pogody, a także i dodanego nawozu. W jaki sposób można ocenić wartość praktyczną tego ostatniego, gdy nie jesteśmy uświadomieni co do wpływu pogody?

Nie może być tu naszym zadaniem mnożenie podobnych przykładów, których świadomi w swym zawodzie rolnicy mogliby wiele tysięcy przytoczyć. Powiemy tylko, że jednym z najbardziej ważnych czynników klimatycznych są dla rolnictwa opady i że zwłaszcza one zdolne są oddać znaczne usługi np. w tak interesującym świat rolniczy pytaniu o przewidywanym urodzaju.

Po tych ogólnych i, dla braku miejsca, drywcznych uwagach, przejdziemy do podania krótkiego opisu, w jaki sposób urządzić i prowadzić

¹⁾ Por. Sprawozdanie z posiedzenia Zarządu P. T. K. z dn. 29 grudnia 1909 r. (Ziemia Nr. 3).



obserwacje nad przebiegiem pogody, ograniczając te ostatnie tylko do spostrzeżeń deszczowych.

II. Jak urządzić stację deszczową.

Jedynym narzędziem potrzebnym dla takiej stacji jest deszczomierz, zwany inaczej pluwiometrem. Deszczomierzem oznacza się w milimetrach i ich częściach dziesiątych wysokość warstwy wo-

dy, którą utworzyłby opad na powierzchni gruntu, gdyby woda nie miała odpływu, nie przesiąkała i nie parowała.

Jakkolwiek nazywa polska deszczomierz dosłownie wskazuje tylko na deszcz, to jednak woda spadać może w rozmaitych postaciach (deszczu, śniegu, gradu, krup, szronu, rosy i mgły) i deszczomierze zasługiwałyby raczej na nazwę opadomierzy.

Przyjęty na stacjach meteorologicznych sieci warszawskiej deszczomierz (systemu Hellmanna) przedstawia się w kształ-

cie walca z blachy cynkowej, o wysokości 46 centymetrów (cm.). Górna powierzchnia przyjmująca, ostro odgraniczona, ma dokładnie 200 centymetrów kwadratowych lub $\frac{1}{50}$ m². Średnica otworu górnego wynosi 159,6 milimetrów. — Walec składa się z dwóch części wyjmowanych: górnej z lejkiem i dolnej, zawierającej zbiornik do wody. Zbiornik ten oddzielony jest od zewnętrznej powierzchni walca warstwą powietrza o grubości 3 cm., a to dla ochrony od parowania wody, nagromadzonej w zbiorniku. Części te wewnętrzne widoczne są na rysunku (Fig. 1). Do walca dodaje się stosowne trzymadło, pozwalające na łatwe umieszczanie przyrządu na słupie. Powierzchnia górna, przyjmująca opady, winna mieć przytem położenie poziome i nadto wystawać nieco ponad koniec słupa.

W porze zimowej, w razie śniegu, dobrze jest wstawiać do walca t. zw. krzyż blaszany, zwłaszcza gdy wiatr jest silny. Krzyża tego nie należy jednak pozostawiać w naczyniu, gdy tylko deszcz pada.

Ponieważ dla stopienia śniegu w porze zimowej należy deszczomierz zdjąć całkowicie ze słupa, zawieszając inny na dzień następny, więc dla każdej stacji deszczowej potrzebna jest koniecznie para deszczomierzy, z jedną miarką szklaną specjalnie dostosowanej podziałce, oraz z krzyżem blaszanym.¹⁾

Deszczomierz umieszcza się na słupie, który wkopuje się do ziemi prawie na jeden metr głęboko. Słup ten czworokątny (o przekroju 10×10 cm.) najlepiej jest wkopać tak, aby jego ścianki odpowiadały czterem stronom świata, przyczem na ścianie północnej, tuż przy jej końcu górnym wśrubowuje się trzymadło, ustawiając to ostatnie tak, aby powierzchnia górna deszczomierza była dokładnie poziomą i wystawała o 1 metr nad powierzchnią gruntu. Górny koniec słupa leży przeto, jak widać na figurze, o kilka centymetrów niżej od powierzchni górnej deszczomierza, a to dla uchronienia zbiornika od kropel deszczu, bryłek gradu i t. p., które mogłyby wpaść po odbiciu od słupa.

Co do wyboru miejsca na słup z deszczomierzem, to należy zauważyć, że słup z przyrządem winien być tak umieszczony, aby opad, nawet w razie silnego wichru i najbardziej ukośnego kierunku padania, dochodził do przyrządu swobodnie ze wszystkich stron. Umieszczenie w ogródku lub na obszernem podwórzu jest najodpowiedniejsze.

Deszczomierz winien znajdować się jednak w odległości od wszelkich zabudowań, ścian, drzew i t. p. nie mniejszej, niż ich wysokość. Warunek ten jest szczególnie ważny dla stron świata od południa przez zachód do północzachu, skąd przypada najwięcej opadu w naszym klimacie.

Umieszczanie deszczomierza w miejscach zupełnie otwartych (np. na łąkach i polach) nie jest

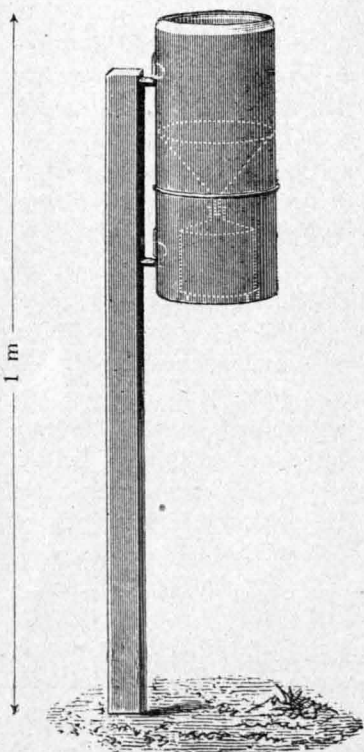


Fig. 1. Deszczomierz systemu Hellmanna.

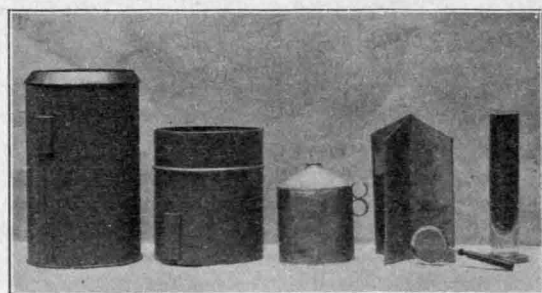


Fig. 2. Części składowe deszczomierza wraz z miarą i lupą.

dobre, gdyż w tym wypadku jest on zbyt wystawiony na działanie wiatru. Niewłaściwe jest także

¹⁾ Koszt jednego deszczomierza wynosi rubli sześć; miarka specjalna z pozostałymi częściami dodatkowymi kosztuje około 4 rubli.



ustawianie przyrządu na dachach lub balkonach, dawniej tak często praktykowane; w tych razach otrzymuje się zbyt mały opad, gdyż silniejsze wiatry w górze wywołują powstanie przy deszczomierzu wirów i ruchów wstępujących, które przeszkadzają swobodnemu spadaniu kropli deszczowych i płatków śnieżnych.

Co do śniegu należy zwracać uwagę, aby deszczomierz nie stał w miejscu, gdzie wiatr zwiewa większe masy śnieżne lub też przeciwnie, tam, gdzie panuje prąd powietrza, zwiewający zupełnie śnieg.

Prawidłowe umieszczenie deszczomierza jest sprawą pierwszorzędną wagi; niewłaściwie ustawiony przyrząd daje wyniki błędne, wprost szkodliwe nawet dla zestawień klimatycznych.

III. Jak należy prowadzić obserwacje deszczowe.

Aby zmierzyć wysokość spadłej wody, należy zdjąć część górną deszczomierza, wyjąć zbiornik i ostrożnie przelać znajdującą się w nim wodę do specjalnej miarki szklanej¹⁾, posiadającej podziałkę ściśle dostosowaną do powierzchni deszczomierza.

Następnie stawia się tę miarkę szklaną na płaszczyźnie poziomej i odczytuje się liczbę całkowitych milimetrów (mm.) i ich części dziesiątych, umieszczając oko na jednym poziomie z powierzchnią wody. Za tę ostatnią bierze się środkową część powierzchni wodnej w miarce, a nie części przylegające do ścianek szklanych miarki cylindrycznej; te ostatnie są nieco podniesione wskutek przylegania.

W cieplejszych miesiącach w ciągu doby spada niekiedy ilość wody, którą kilkakrotnie napełnić można miarkę szklaną całkowicie t. j. do wysokości górnej kreski, wskazującej 10 mm.; w tym wypadku należy wlewać wodę z całą ostrożnością, napełniając miarkę zawsze tylko do najwyższej kreski górnej t. j. do 10 mm.

Jeżeli napełniono w ten sposób miarkę całkowicie np. 5 razy i jeszcze szóstym razem woda doszła do 4 działki drobnej powyżej dłuższej działki, oznaczonej na szkle przez 7, to zmierzona wysokość opadu wyniesie 57,4 mm.

Aby zmierzyć wysokość wody spadłej w postaci śniegu, gradu lub krup, należy cały deszczo-

mierzyć zdjąć ze słupa w zwykłym terminie i natychmiastowo zawiesić deszczomierz zapasowy; pierwszy zaś przenosi się do miejsca ogrzanego i ilość wody po stopieniu mierzy się, jak poprzednio.

Na powierzchnię górną deszczomierza ze śniegiem i t. p. należy położyć przykrywkę blaszaną i nie odkładać zbyt długo pomiaru wody po stopieniu, a to dla uniknięcia strat przez parowanie.

W czasie wichury śnieżnej i wogóle dla uniknięcia wywiewania śniegu z części górnej deszczomierza, przyjmującej opad, zaleca się wkładanie w tych razach do przyrządu t. zw. krzyża blaszanego, który dzieli ową część naczynia, przyjmującą opad, na cztery przedziałki, lepiej zatrzymujące płatki śnieżne. Ten krzyż należy używać jedynie tylko dla opadów śnieżnych, nigdy zaś dla deszczu. W tym ostatnim razie byłby on wprost szkodliwy, jako zwiększający powierzchnię zmoczenia.

Opad mierzy się codziennie o godzinie 7-ej rano. Wartości odczytane notuje się w liczbach całkowitych i częściach dziesiątych (np. 0,7 mm., 5,4 mm., 0,1 mm. i t. d.); gdyby tych ostatnich nie było, należy na ich miejscu pisać zero (np. 2,0 mm.).

Jeżeli deszczomierz wykazuje ślady opadu, lecz wysokość zmierzonej wody jest tak mała, że nie przenosi połowy pierwszej kreski dziesiątnej (jest mniejszy od połowy 0,1 mm.), to notuje się 0,0 mm.

Obserwator winien codziennie zaglądać do deszczomierza i przechylić zbiornik nad miarką i to niezależnie od tego czy są, czy też nie ma widocznych śladów deszczu na powierzchni gruntu. Zdarza się bowiem często, że, zwłaszcza w ciągu nocy letnich, spadają drobne deszczyki, które szybko parują na powierzchni ziemi i w ten sposób mogłyby łatwo ująć pomiarom, o ile te z całą regularnością nie byłyby codziennie wykonywane.

Można także zauważyć, że niekiedy silna rosa, szron lub mgła powodują wymierzalny opad.

Pomiary wysokości opadów zapisuje się, wraz z uwagami, do specjalnego dzienniczka spostrzeżeń, który posiada oddzielną rubrykę dla każdego dnia w miesiącu. Po ukończeniu każdego okresu miesięcznego, układa się wykaz za miesiąc ubiegły, przepisując odnośne dane z dzienniczka. Do wykazów miesięcznych używane są osobne formularze (na kartach pocztowych), opatrzone już adresem Biura Meteorologicznego przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie (ul. Krakowskie Przedmieście Nr. 66). Stamtąd też otrzymywać

¹⁾ Używanie, do pomiarów deszczowych, miarek szklanych z podziałkami w cm. ³ (ccm.) lub wogóle miarek, znajdujących się w handlu i nie dostosowanych specjalnie do powierzchni deszczomierza, jest niedopuszczalne. Wogóle przyrządów do badań ścisłych nie należy nabywać, bez porozumienia się z odnośną instytucją naukową.



KOŚCIÓŁ W CHODLU PRZED OSTATNIĄ PRZEBUDOWĄ. „Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

CHO

Położony w powiecie Lubelskim cichy i senny Chodel odznacza się tem chyba, że już parokrotnie był degradowany na wieś i powtórnie znowu awansowany na miasto. Dziś jest ostatecznie osadą, ale za to ma kościół, jakiego by niejedno z wielkich miast polskich mogło mu pozazdrościć. Ostrołukowa ta świątynia z wieżą 109 stóp wysoką, stawiana była przez Bernarda Maciejowskiego, ojca słynnego statysty czasów zygmontowskich, Samuela. Jak wszystkie niemal nasze zabytki budownictwa, doznawał niestety niejednokrotnych przeróbek i upiększeń, w których ignorancja szła w zawody ze złe zrozumianą oszczędnością. Jezuici, do których Chodel czas pewien należał, zniżyli wysoki pier-

można dokładniejsze informacje o narzędziach, a także instrukcję, druki i schematy.

■ ■ ■

Z powyższego przedstawienia widać, że podjęcie obserwacji deszczowych nie tylko jest doniosłe z praktycznego punktu widzenia, ale że w pierwszej mierze interesować ono winno każdego, komu rozwój krajoznawstwa rodzimego istotnie leży na sercu i kto w tym rozwoju czynny udział wziąć zechce. Tym wszystkim można gorąco polecić zakładanie i prowadzenie stacji deszczowych, które, zarówno ze względu na swą nadzwyczajną prostotę, jak i na niewielkie zabiegi codzienne, których wymagają, i wreszcie na nieznaczny koszt, jednorazowo poniesiony, nie mogą nastręczyć żadnych poważniejszych trudności.

Kraje ościenne, nawet na wschód od naszego terytorium położone, posiadają już w wielu miejscach gęste sieci deszczowe; nie tylko ogólne względy kulturalne, ale i korzyści praktyczne, wynikające z poznania stosunków opadowych w kraju, przemawiają za tem, że nie powinniśmy dać się wyprzedzić w tym względzie.

Pomyślny wynik tych usiłowań, jakie podejmuje obecnie Polskie Towarzystwo Krajoznawcze w celu stworzenia gęstej sieci krajowej punktów deszczowych, jest całkowicie w rękach członków rozrzuconych po kraju, którzyby tak ważny problemat krajoznawczy, jakim jest zbadanie kraju pod względem opadowym, energicznie i wytrwale podjęli.

Wł. Gorczyński.



DEL.

wotny dach, którego ślady widać na tylnej ścianie wieżowej, o połowę. Przed kilku zaś laty (w r. 1899) przy ogólnym odnowieniu kościoła dodane zostało wieży, zamiast pierwotnego, zebanego do środka dachu w stylu staro-włoskim, upiększenie, którego potrzebę i wdzięk może każdy na załączonej obok rycinie sprawdzić.

Wewnątrz oprócz pomnika z czerwonego marmuru fundatora i jego żony nie zawiera kościół nic osobliwego. Z fundowanej przez Jezuitów w Chodlu kaplicy, letniej ich rezydencji i sklepionego ratusza niema dziś ani śladu.



KOŚCIÓŁ W CHODLU PO OSTATNIEJ PRZEBUDOWIE.

Fot. M. Wisznicki.

Lud polski na Górnych Węgrzech.

1)

Do niedawna powszechność nasza nie wiedziała tak dobrze jak nic o prastarej ludności polskiej na północnych stokach Beskidów, Tatr i Karpat, czyli na Górnych Węgrzech, a i dziś jeszcze wie o niej bardzo mało, chociaż ziemie zakarpacie, na których mieszka lud polski, jak wogóle cała Słowaczyna, tworzyły w prawnym na podstawie jednościi plemiennej wraz z Małopolską, Górnym Śląskiem i Morawą zjednoczenie narodowe, najprzód jako Biała Chrobacya, następnie jako państwo Wielko-Morawskie, po którego upadku za Mieszka I i Bolesława Chrobrego wchodziły w skład Polski. Spiż w szczególności przypadł Węgom dopiero tytułem wiana, które Bolesław Krzywousty dał swej córce, zaślubionej królewiczowi węgierskiemu; wracając w r. 1412 na podstawie zastawu

do Polski, pozostawał przy niej aż do pierwszego jej rozbioru. Podobnie północna część żupaństwa Trenczyńskiego nad górnym biegiem rzeki Kisucy wraz z ziemią żylińską (Sillein) należała do księstwa Cieszyńskiego mniej więcej do XIV w.

Anonim J. Z., który pierwszy w naszym piśmiennictwie podał nieco szczegółowszą wiadomość o ludności polskiej na Górnych Węgrzech w „Dodatku“ do „Gazety Lwowskiej“ (1851 i 1852), stwierdził, że panowanie polskie sięgało na południowej stronie Karpat za Koszyce, a podanie o tem utrzymało się żywo między ludem, podług którego granica polska sięgała aż do mostu na Hernadzie pod wsią Mosty Niemieckie (Hidas Nemeti).

W żupaństwie Trenczyńskim, Orawskim, Lip-towskim i Szaryskim, pomijając Spiż należący do



Polski, panowali w XV, XVI i XVII w. rozmaici możnowładcy polscy, jak: Ścibor Ostoja ze Ściborzyc, „pan całego Wagu“, Komorowscy, Siedleccy, Dubowscy, Łascy i inni, którzy między ludem miejscowym czuli się jak w Polsce.

Mimo węzłów historycznych i jeszcze silniejszej jedności plemiennej zapomnieliśmy o ludzie polskim na Górnych Węgrzech, pozostawiając go twardestwu jego losowi bez oświaty i opieki narodowej, jako łup dla wynarodowienia podmywającego jego posady równocześnie z dwóch stron—ze strony madziarskiej i słowackiej.

Przypomnieli go nam dopiero obcy pisarze. Pierwszy odkrył polską ludność na Górnych Węgrzech Francuz Vanel z Montpellier w XVII w. Następnie znajdują się o tej ludności polskiej wzmianki u całego szeregu węgierskich, słowackich, czeskich i niemieckich pisarzy jako to: Bel, Szaszky, Karabinsky, Czaplovics, Fenyés, Sydow, Hunfalvy, Szafarzyk, Kollar, a w późniejszym czasie pisali o niej szczegółowiej czescy uczeni Szembera („Muzeum czeskie“ 1876) i Poliwna („Filologicke Listy“ 1886). Im też przypada głównie zasługa „odkrycia“. Pierwszy bowiem wyliczył szczegółowo około stu osad polskich w Trenczyńskim, na Orawie, Spiżu i w Liptowskim, drugi zaś podał bliższe wiadomości o polskich Orawiakach i ich gwarze.

„Odkrycia“ mianowicie tych dwóch czeskich uczonych, chociaż Kucharski, Zejszner i anonim J. Z. pisali o tym przedmiocie w naszym piśmiennictwie przedtem, wprawiły sąsiadkę Galicyę w ogromne zdumienie. Wybuchł był też słomiany ogień niesienia pomocy narodowej „braci za Karpatami“. Lecz ogień wnet przygasł, a chwilowy zapal nie przyniósł prawie żadnego pożytku, i znowu poszedł lud ten w zapomnienie, a madziaryzacja i słowaczenie jego, znajdując w narodowym nieuświadomieniu ludu podatny grunt, czyni zastraszające szczyrby i spustoszenia. Ostateczny zaiste czas, żebyśmy bierność w tym kierunku przełamali i spełnili obowiązek narodowy.

Jak państwo polskie pierwszych Piastów obejmowało północ i południe Beskidów, Tatr i Karpat, tak ludność polska po dziś dzień zamieszkuje ich stoki po obydwóch stronach, przechodząc przez ich grzbiec ze Ślązka i Galicyi na Górne Węgry w Słowacznę, gdzie dość szerokim pasem granicznym ciągnie się od porzeczki rzeki Kisucy w Trenczyńskim, przez Orawę, Spiż, żupaństwo

Szaryskie i Abaűjeckie wzdłuż pasma gór aż po Preszów (Eperies) i Koszyce bez przerwy, tworząc nadto wyspy etnograficzne w żupaństwie Liptowskim, Gieűrskim, Zwoleńskim, Ziemlichskim i Ungskim.

Największe polskie uziemia—używam tego swojskiego wyrazu (zamiast: terytorium), upowszechnionego między ludem na Górnych Węgrzech, gdyż wydaje mi się odpowiedniejszy, niż wyraz obcy—znajdują się w Trenczyńskim, Liptowskim, na Orawie i na Spiżu w tak zwanem Zamagurzu, które po upadku państwa Bolesława Chrobrego nigdy już więcej do Polski nie należało, i gdzie stosunkowo polszczyzna podobnie jak na Orawie najczystiej się utrzymała w gwarze ludowej. W innych żupaństwach górno-węgierskich tworzą polskie osady większe lub mniejsze odosobnienia etnograficzne, o ile one zdołały jeszcze utrzymać język rodzimy. Są to tylko szczątki pierwotnego polskiego osiedlenia tych ziem.

Znakomity językoznawca słowacki dr. S. Czambel w dziele: „Słowenska Recz“ („Język słowacki“) dochodzi na podstawie badań językowych do wniosku, że pierwotne zaludnienie Górnych Węgier czyli dzisiejszej Słowaczyny było polskie, a Słowacy przybyli na swe obecne uziemie z południa, i opiera swe twierdzenie na pewnych właściwościach językowych południowo-słowiańskich, znajdujących się w gwarach słowackich. Píše on między innemi: „Nie można wątpić o tem, że zachodnia część ziem wschodnio-słowackich aż po rzekę Toplę należy do szczepu narodowego polskiego t. j. że pierwsze zaludnienie tych ziem było polskie. Na to wskazują prawa głosowni teraźniejszych wschodnio-słowackich narzeczy, które w swej podstawie są polskie“. Uzasadnia on to w sposób wyczerpujący pod względem gramatycznym, stwierdzając w końcu, iż pierwotni tych ziem mieszkańcy słowaczyli się pomału wskutek „wyższego poziomu oświaty słowackiej w tych stronach“, zachowując przytem w podstawie swoją głosownię polską.

Na uziemiu tak zwanem wschodnio-słowackiem, na którem gwary ludowe różnią się dość znacznie od zachodnich, ludność polska znajduje się, pomijając madziaryzację, trapiącą kraj cały, w kleszczach wpływów sąsiedzko pobratymczych t. j. słowacko-ruskich, wpływów, działających na nią wynaradawiająco z dwóch stron równocześnie.

(d. c. n.)

G. Smółski.



W obozie nieprzyjaciół.

III. Wielkie miasta.

Stare Niemcy — pokolenie Werterów i Heglów — już oddawna wymarło do cna. Ci dzisiejsi inne mają już dążenia, inne sposoby działania i inne gusta. Jeżeli co ich łączy z dniem wczorajszym, to przedewszystkiem dochodzące do namiętności zamięlowanie do kwiatów i drzew.

Stąd w każdym mieście istna powódź ogrodów, alei i parków. Bezmała każdy wolny skrawek ziemi użytkowany zostaje bezwzględnie w tym celu; w Düsseldorfie można objechać prawie całe miasto jedną nieskończoną aleją; Kolonia na ten cel nabyła od władz wojskowych stare fortyfikacje miejskie za 25 milionów; w Lipsku przestrzeń przeznaczona dla drzew przenosi dwukrotnie obszar ulic i placów zabudowanych, a długość wysadzonych drzewami dróg publicznych wynosi w obrębie samego miasta 130 kilometrów.

To natomiast, co jest jedną z najbardziej charakterystycznych pamiątek przeszłości, co nadaje każdemu miastu odrębny, osobisty wdzięk i charakter — domy mieszkalne nie mają tu żadnej ceny. Zachowuje się oczywiście i nawet otacza troskliwą opieką gmachy wyjątkowej wartości artystycznej albo te, do których przywiązane jest jakieś historyczne wspomnienie, ale za to burzy się, goli poprostu z powierzchni ziemi, jak złe zarośniętą brodę, całe dzielnice, żeby na ich miejsce wystawić nowe.

Wobec rozlewającej się zamożności i kultury, to, co powstaje, musi nietylko odpowiadać, ściśle zresztą przez policję określonym, warunkom higienicznym, ale i wyglądem zewnętrznym przypominać luksusowe mieszkania bogaczy. Wprawdzie wewnątrz jest najczęściej tandetą, ale sekret odgaduje się łatwo, dowiedziawszy się, że podług powszechnie przyjętej kalkulacji domy buduje się tylko na 20 lat. Potem zburzy się je, a następne pokolenie niech sobie stawia nowe mieszkania podług swoich potrzeb i gustów.

Buduje się oczywiście — hurtowo. Plan, ogólny szkic i wstępne kroki przedsięwzięcia miasto, które nabywa grunta, wywłaszcza je w razie potrzeby, burzy domy, brukuje ulice, oświetla, urządza parki i wreszcie odprzedaje oddzielne place wielkim towarzystwom budowlanym, które, dzięki poskonałej organizacji, budują istotnie nietylko bajecznie szybko ale i niebywale tanio. W ten sposób przygotowują się obecnie nowe dzielnice Berlina w kierunku Szpandawy. Po bokach ciągną się liche domostwa, później uprawne pola, jałowe piachy, w końcu gęsty sosnowy las. A środkiem

wali przez 12 kilometrów wybrukowana ulica, z chodnikami, z asfaltowanymi placami, z kwietnikami i całą siecią takich samych ulic poprzecznych.

Ci ludzie przystępują do budowania swych siedzib, jak do stoczenia walnej bitwy, z jakimś szalonym rozmachem, z wiarą w siebie i w jutro i z niemniej zacieklą, drobiazgową systematycznością. I jak dotychczas wygrywają.

Oczywiście 20 letni, z góry określony termin życia dla zwykłych domów nie stosuje się do gmachów publicznych. Te buduje się inaczej — staranniej i na dłużej — a jeżeli zewnętrzny ich wygląd mniej czasami porywa cudzoziemca, to i przepychem urządzenia i ilością i wykładaniami na ten cel sumami mogą istotnie wprawić w zdumienie. Sam Lipsk (600 tysięcy mieszkańców) w ciągu ostatnich 25 lat wybudował u siebie do 20 gmachów publicznych za łączną sumą 48 milionów franków, a w tem nie mieści się koszt ani 11 kościołów, przybyłych w tym czasie, ani pomników ulicznych, ani dworców kolejowych. Te ostatnie pochłaniają sumy tak olbrzymie, że trudno wogóle odgadnąć, w co tam można tyle pieniędzy wpakować. Dość powiedzieć, że ostatni jeszcze nieukończony dworzec kolejowy w Lipsku kosztować będzie do 160 milionów, i dodajmy, że będzie on przeznaczony tylko dla pasażerów, i że, nie mówiąc o towarach, nawet listy i posyłki pocztowe będą miały swoje osobne dworce. Naturalnie, będzie największy w świecie. Te trzy słowa mają dla Niemców — yankesów Europy — całkiem specjalny, magiczny urok, ale istotnie od tych rzeczy w pewnym kierunku „największych“ roi się tutaj.

Po dworcach lwią część wydatków pochłaniają gmachy szkolne. Jest to zresztą zupełnie naturalne. Naród, który, jak widzieliśmy w poprzednim rozdziale, traktuje wiedzę, jako broń — i to broń zaczepną, — który zresztą z dawien dawna miał do niej wyraźny pociąg i w którym coraz bardziej skomplikowane formy życia wymagają olbrzymiej armii specjalnie urobionego materiału ludzkiego — musi na ten celłożyć bez końca. To też nie mówiąc o niezliczonych, doskonale urządzonych i suto zaopatrzonych pomniejszych szkołach zawodowych, jest już obecnie w Niemczech 11 wielkich politechnik, a dwunasta — największa — będzie za lat parę ukończoną we Wrocławiu.

Ale oprócz tego w Niemczech obowiązuje przymus szkolny i obowiązuje z zastosowaniem względem opornych leniuchów całego aparatu administracyjno-policyjnego. Uczyć się muszą nietylko małe kilkoletnie bębny, ale i młodzi robotnicy, terminatorzy, praktykanci, subiekci do lat 17. To



też wydatki oświatowe stanowią w budżetach miejskich bardzo poważne sumy; w Lipsku np. przekraczają 10 milionów franków rocznie i wynoszą szóstą część ogólnego budżetu.¹⁾ Być może, można byłoby przy tej samej nawet wartości wewnętrznej szkolnictwa, urządzić się nieco taniej, ale po pierwsze: gmachy szkolne—nawet szkół ludowych—są budowane, jak pałace, a powtóre: ze szkołą związana jest cała masa urządzeń i pomocy bezpłatnych dla biedniejszej ludności.

Oto np. gmach szkół ludowych w Moguncyi. Duży, z pretensją do stylu, w każdym razie bardzo starannie stawiany gmach z czerwonej cegły i z kamienia, otoczony sporym ogródkiem; wewnątrz szerokie, widne korytarze, ozdobione kolorowymi litografiami i wykładane linoleum. 36 izb szkolnych, utrzymywanych w idealnej czystości przez 9 posługaczek, które poświęcają na ten cel 3 godziny dziennie, a w soboty 6 godzin. Oświetlenie elektryczne, bo gaz psuje powietrze. Ogrzewanie centralne, przyczem ciepłe i czyste powietrze wchodzi przez otwory nad podłogą, a wychodzi sufitem; oprócz linoleum klasy wyłożone są pod ławkami kratką drewnianą, żeby w razie deszczu wilgotne obuwie dzieci prędzej wysychało. Oprócz zwykłych umywalni na każdym piętrze, dwie wielkie sale kąpielowe z basenami do wody i ciepłymi lub chłodnymi natryskami u góry. Każde dziecko, kąpane raz na tydzień obowiązkowo, dostaje majteczki, ręcznik i mydło—darmo. Darmo również dawana bywa w razie życzenia pomoc szkolna t. j. pióra, kajety, ołówki. Darmo oględziny lekarskie (co dwa tygodnie), leczenie kalek, ułomnych. Jąkałów; darmo (na żądanie) śniadanie, składające się ze szklanki mleka i bułki. Darmo wreszcie dla dzieci słabo rozwiniętych umysłowo albo mieszkających daleko—bilety tramwajowe na przejazd do szkoły.²⁾

A sama nauka. O tem by oczywiście, chcąc nie być zanadto powierzchownym, nie artykuł, lecz studium można napisać. Poprzestańmy na zaznaczeniu, że ma krótko utylitarny charakter i że mniej dbając o wyrobienie z ucznia człowieka, w szerokim, humanistycznym tego słowa znaczeniu, zwraca raczej szczególną uwagę na wyrobienie jego wartości zawodowej, powiedzmy nawet na wzmocnienie jego zdolności zarobkowej.

¹⁾ Z innych rubryk zanotować warto: utrzymanie parków z górą 500 tysięcy; straż ogniowa—milion; muzea—320 tysięcy; policja—2900 tysięcy; utrzymanie porządku na ulicach—z górą 2 miliony; dobroczynność—przeszło 5 milionów i t. d.

²⁾ Dzieci robotników, mieszkające za miastem, obowiązany jest na własny koszt odsyłać do szkoły fabrykant.

Wykład z wykluczeniem niemal doszczętnem wszelkiego „zadawania“ i kucia na pamięć, usiłuje doprowadzić umysł dziecka przez szereg skomplikowanych i różnorodnie przedmiot oświetlających zapytań do samodzielnego rozwiązania każdej kwestyi. Ze szczególną usilnością podkreślona jest kilkakrotnie w pracy Hureta cierpliwość nauczycieli, z jaką w tym właśnie systemie objaśniających zapytań celują. Rzecz prosta, zależność tej cierpliwości od szerokości geograficznej i narodowości uczniów mogłaby być w wyżej wspomnianem studium tematem osobnego rozdziału.

Jako uzupełnienie opisu miast z ich strony bardziej zewnętrznej należy się bodaj dwa słowa stowarzyszeniom. Jak wiadomo, gdzie się zejdzie dwóch Niemców, dusze ich nie spoczną tak długo, dopóki nie wynajdą trzeciego, celem zawiązania stowarzyszenia. Więc też w Lipsku jest ich przeszło 2600, z tego 171 poświęconych śpiewowi i muzyce. Opisywać, a choćby wylizywać je tu wszystkie, byłoby chcieć wyciąć las szczyrykiem. Wierzmy zatem lepiej na słowo, że niema tu celu, dla którego by się ludzie nie stowarzyszali. Niektóre z tych celów wydają się na pierwszy rzut oka zabawne; ale po bliższem przyjrzeniu okazuje się, że zabawną jest conajwyżej zewnętrzna skorupa, pod którą kryje się często myśl wcale poważna a prawie zawsze wielce praktyczna.

Więc np. *Verkehrverein*, który zajmuje się sprawdzaniem rachunków hotelowych, zatem zabawą nieco jałową; tylko, że tu nie chodzi ani o rachunki, ani nawet o moralność hotelarzy, tylko o drogocenną skórę podróżnika, której nie można pozwolić obedrzeć odrazu. Gdzieindziej stowarzyszenie wynajmowania lokali dietnym wdowcom i wogóle ludziom, którzy przestali mieć żony. Dlaczego tylko dietnym i dlaczego tylko wdowcom? Pomyślmy jednak, że człowiek, któremu żona umarła, rozwiodła się, uciekla czy jakie tam jeszcze mogą być inne prawowite powody nieobecności, ma drobne dzieci, i że dla niego nie będzie to rzeczą małą zatrzymać je przy sobie, pracować, patrząc jak mu obce, ale wprawne i względnie życzliwe ręce to dziecko umyjają, zabawią, nauczą i to wszystko tuż obok w sąsiedniej wspólnej sali i za minimalne wynagrodzenie.

Albo stowarzyszenie—tu już jest istotnie szczyt niemieckości—utrzymywania porządku w miejskim lesie *Grünwald* pod Berlinem. Miasto, które wydaje na utrzymanie czystości na ulicach miliony i które po każdym deszczu spędza 20 tysięczną armię zamiataczy, nie może jednak podjąć się tego samego w lesie, który ma blisko 9000 morgów obszaru. I znajduje gromadę maniaków, którzy się własnym kosztem podejmują je w tem wyręczyć. Ale czy nie byłoby dobrem, gdybyśmy

złożyli u siebie stowarzyszenie, którego członkom nie wolno byłoby kpić z czystości, chociażby posuniętej do manii?

Co do miejskich zarządów, dają sobie one radę niezgorzej nawet tam, gdzie ich prywatne stowarzyszenia nie podtrzymują. Prawda, że są kosztowne, że podatki miejskie w Niemczech są dwukroć wyższe, niż we Francji — ale obciążają prawie wyłącznie sfery zamożne —, że burmistrz nawet w niewielkim mieście (Moguncji) pobiera ogromną pensję 15000 marek rocznie i staje się po 12 latach nieusuwalnym. Ale ten burmistrz

pracuje od 9 rano do późnej nocy, jest człowiekiem bardzo głęboko i bardzo specjalnie wyszkolonym i w ostateczności miasto na tem nie traci. Prawda, nawet dla nas — a przynajmniej dla naszych tradycji — ten nieusuwalny urzędnik, zależny mocno od rządu, wydaje się być figurą bardzo zacofaną i pachnącą feudalizmem. Ale warto przeczytać z jaką melancholią, nie pozbawioną gorzkości, zauważa Huret, że jeżeli dla narodów idących szybko naprzód, każda forma zarządu jest odpowiednią, żadna nie będzie nią dla tych, którzy już stanęli na miejscu.

St. Th.

GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.



II.

Dwie są, pozornie wręcz przeciwstawne, w rzeczywistości z jednego rosnące pnia właściwości umysłu ludzkiego: wrodzone, głęboko zakorzenione zamiłowanie do szablonu i banalności oraz zaciekle pogoń za wszelkiego rodzaju osobliwościami.

Im jakieś zjawisko, jakiś szereg zjawisk jest trudniejszy do ogarnięcia, tem chętniej poprzestajemy na wytartych liczmanach myśli, zadawaniając się ujęciem cech czysto zewnętrznych, czasem wprost przypadkowych. Potem, kiedy już z nadmiaru tej wody z cukrem rodzi się chciwość, przerzucamy się w drugą ostateczność, szukamy form dziwacznych, drażniących, ekscentrycznych, pod któremi kryje się ta sama banalność. Tu i tam za wspólne podłoże podobnemu traktowaniu rzeczy służy zwykłe lenistwo.

Takim jest najczęściej nasz stosunek do natury. Były podobno czasy, kiedy ona była człowiekowi — matką. Ale to było tak dawno, że nawet zbiorowa pamięć ludzkości nie jest w stanie tak daleko cofnąć się wstecz. Z czasem stosunek zmienił się,

zwyrodniał. Z dziecka człowiek stał się napastnikiem, potem zwycięzcą, nareszcie posiadaczem.

Dziś natura jest dla nas przedewszystkiem roboczym bydłem. Używamy jej usług tak, jak się używa konia dorożkarskiego, którym niema celu bliżej się interesować, jak się używa posłańca, któremu oddaje się list, ale na którego się nie patrzy.

Pozatem służy nam jeszcze do dekoracji. Akceptujemy ją łaskawie w celach ornamentacyjnych, oczywiście po ściśnem dostosowaniu do naszych potrzeb i pojęć, po wyrównaniu i poprawieniu jej. Wonne kwiaty o przedziwnie delikatnych płatkach usadzamy w geometryczne figury, z rosohatych konarów drzew formujemy altany i szpalery, a stawy czyścimy starannie, żeby wyglądały, jak gdyby je tylko co pokojówka czy lokaj wyfroterował.

Czasami odwiedzamy ją też na jej własnym terenie, spotykamy się z nią oko w oko tam, gdzie jeszcze nie wszystko jest urządzone, poprawione i dostosowane. Wtedy przedewszystkiem szukamy osobliwości. W górach nosimy w kieszeni tabelkę z dokładnem obliczeniem wysokości każdej z nich oddzielnie, żeby przypadkiem nie okazać więcej zachwyty górze siedemsetmetrowej, aniżeli się należy tej, co ma okrągłe tysiąc; w lasach wyszukujemy najgrubszych drzew, w urwistych jarach — kamieni, któreby jaknajmniej do kamieni były podobne ¹⁾. Jeżeli jesteśmy konsekwentni, wyobrażamy sobie raj, jako wielki ogród, w którym drzewa rosną korzeniami do góry, wody w strumieniach płyną od ujścia do źródeł, a po

¹⁾ Rzecz prosta, nie mówię o przyrodnikach, studiujących osobliwości natury dla celów naukowych.



łąkach, zarosłych czerwoną trawą, przechadzają się cieleńta o czterech obowiązkowo ogonach.

To właśnie jest, jak sędzę, między innymi powodem, dla którego nasi wielcy podróżnicy—mówię „wielcy“, bo słowo „duży“ w pierwszym przypadku liczby mnogiej nie używa się—lekce sobie traktują nasze swojskie widoki. W nich niema co oglądać. Góry nie są dosyć wysokie, jeziora dosyć głębokie, a w lasach nie rośnie ani lotos raz na sto lat kwitnący, ani nawet zwyczajna palma. To, co jest, redukuje się do głupich sosen na głupim piasku, przykrytych równie niemądrem niebem. Wszystko to razem można w ostateczności z jednako-
wym skutkiem obejrzeć u siebie w domu na obrazkach dziecinnych książek.

A szkoda. Próżnem byłoby staczać bój — zwłaszcza, że bez nadziei zwycięstwa—czy nasza natura jest piękna czy brzydka. Czy ona zresztą gdziekolwiek może być brzydką i co jest wogóle pięknem w naturze? Ona sama nic o tem nie wie. Oblicze swoje kształtowała w przedwieczne zamierzchłych czasach pod wpływem sił i działań kosmicznych, które my dziś zaledwie z trudnością zaczynamy odcyfrowywać. Najmniej pewnie wówczas brane były pod uwagę nasze obecne kanony estetyczne, nasze upodobania, zmienne z dnia na dzień, nasze mody i snobizmy.

W tem właśnie cały jej urok, że jest, jaką jest, że nie chce i nie może być inną. Może tylko pod wpływem interwencji człowieka usuwać się, ginać, wymierać, poddawać się biernie niezliczonym operacyom, amputacyom, kastracyom, ale w istocie swej pozostaje tem, czem była.

I jeżeli potrafimy w tę właśnie istotną treść jej wniknąć, jeżeli z kształtów i form widzialnych potrafimy odgadnąć czy odczuć jej wewnętrzne oblicze, nie będziemy zastanawiali się nad tem, czy ono jest groźnem czy wdzięcznem, wesołem czy ponurem, bujnym czy bezpłodnem, zobaczymy natomiast napewno, że jest świeżem i wielkiem, że daje to ukojenie, jakie duszy ludzkiej sprawia widok rzeczy odwiecznych.

My dziś w miastach żyjemy życiem szalonym. Życiem nieszczęśliwym, głupim i małym.

Olbrzymia większość chodź w ciężkiem, nieraz krwawiącym jarzmie codziennych obowiązków, bez możliwości wytchnienia, bez sposobu podniesienia choćby na chwilę oczu, utkwionych w ziemię, do góry. Część czasu oddajemy sprawom i obowiązkom publicznym, podejmowanym w chwili zapału, spełnianym potem dla braku sił często niewystarczająco i źle. Tak zwane „wolne chwile“ oddajemy stosunkom towarzyskim albo bezmyślnie oszałamiającej zabawie. Dla siebie nie pozostaje nic.

Myśleć o sobie, pamiętać, że każdy człowiek jest światem zamkniętym w sobie, że zależnie od wypełniającej go woli, ten świat może być lepszym lub gorszym, doskonalszym lub mniej doskonałym — na to się niema już chęci ani czasu. Wiele ludzi uważa taką dbałość o siebie wprost za dzieciństwo, za rzeczy przesadzone i śmieszne i sądzi, że na to, jak na przyszłość inne, są już gotowe sposoby i recepty, fabrykowane masowo na użytek publiczny. Odmienia się duszę w miarę zużycia, jak się odmienia znoszone skarpetki lub chustki do nosa, i basta.

A potem, kiedy przyjdzie jakaś katastrofa moralna, jakieś straszne załamanie wewnętrzne, jakiś ból, od którego drą się trzewia na strzępy, okazuje się, że nie mamy w sobie nic, czembyśmy mogli stawić opór, łatać szczyrby i odradzać się.

Jest cudnie piękny i głęboko mądry życiowo grecki mīt o Anteuszu. Ten, ilekroć zwyciężonym był i powalonym na ziemię, odyskiwał w dotknięciu z matką-rodzicielką całą świeżość, całą siłę uprzednią.

Dla czego nie chcemy naśladować go? Dla czego w momentach, kiedy pierśom brakuje już tchu, a w głowie huczy złowrogo próżnia, nie idziemy poprostu gdzieś przed siebie, w las, w pole, daleko od ludzi, a blisko tego, co się tyle razy oglądało, a tak mało widziało?

Dla czego w tych gorzkich chwilach, kiedy człowiek czuje, że idzie już do dna, nie ucieka do prastarej ziemi-pocieszycielki—odnaleźć siebie?

Na to nie potrzeba być ani poetą, ani osobnikiem obdarzonym wyjątkowym darem zatapiania się w kontemplacji. Idzie się przecież czasami w chwili strapienia do ludzi wyjątkowo dobrych, zdrowych i czystych, nie na to, żeby z nimi o swoich kłopotach gadać, jeno dla tego, że ich obecność działa niekiedy jak balsam.

Dobłą, zdrową i czystą jest natura. Ale trzeba zwrócić się do niej bez uprzedzeń, bez lekceważenia, bez pychy.

.....

Z gęstych i mrocznych borów łysogórskiego podnóża wypływa niewielka rzeczka Kamienna, która prawie na wprost Józefowa wpada do Wisły. W środkowym swym biegu, od Kunowa po Ćmielów, stanowi ona wyraźną, mocno zaznaczoną granicę geologiczną i kulturalną między żyznymi, z dawien dawna uprawnymi łąkami sandomierskimi a lesistemi pustkami, które się aż poza Ciepłólów, pod Solec ciągną.

Kiedy się w ciepły, lipcowy wieczór przechodzi z prawego brzegu na lewy, różnica ta bije w oczy. Tylko co wyszliśmy z gwaru, zamętu, nieprzerwanego łańcucha wozów ze zbożem, towa-



rami, ludźmi, z gorączkowego krzątania koło żniw, z długiego szeregu dymiących i szumiących fabryk.

Tutaj pustka i cisza. Na dalekim widnokręgu sinieją w sędziwej zadumie Łysogóry, za które stacza się spracowane i uznozione słońce. W ostatnich jego gorąco czerwonych promieniach gorzeją sosny. Ma się wrażenie, że one naprawdę płoną i że od tego żaru topi się, spływa żywica, której tak silny zapach unosi się wkoło.

Jedyny to zresztą żywszy, cieplejszy ton w tej pustce. Niebieszczęją tylko miejscami wrzosowiska, gdzieindziej jakby jakaś potężna a złośliwa pierś jednym podmuchem zmiotła z powierzchni ziemi wszystko, oprócz kamieni i piasku. Opodał żółci się sypka, piaszczysta krawędź doliny, zbiegająca do samej rzeki.

Coraz ciszej, coraz puściej, coraz ciemniej. Już tylko w dogasającym zmierzchu połyskują metalicznym odbłaskiem fale rzeki, chlupocącej o koślawe, pokraczne pale starego mostu. W głąb lasu idzie od niego zwykła leśna ścieżyna, wydeptana bosą nogą wiejskiego pastuszka, kusząca czemś tajemniczem, nieznanem.

Cisza taka, że w wiosce o trzy, cztery wiorsty odległej słysząc, jak skrzypi żuraw studzienny; słysząc, zda się, jak woda z wiadra wylewa się z pluskiem w koryto. W pewnym momencie majaczeje na brzegu krawędzi jakiś kształt smukły i pierzchliwy, jakieś nozdrza wciągają nieufnie powietrze i chrapią; potem lekki i suchy tupot racic, bijących chybko o ziemię. Potem już nic. Od leśnych pustaci wieje jakiś głęboki smutek, od którego coś w duszy zaczyna mięknąć i drżeć. Taję, spływa bezgłośnie skorupa, narosła od niepamiętnych już czasów. Zwracają się w głąb oczy, trwożliwie ciekawe, zdziwione. I tak jest z tym smutkiem dobrze.

A wtem znagła uderzy wiatr. Zakołyszą się, zaskrzypią żałośnie sosny. Z brzegu sypie się suchy, siekący piach. I jak głębokie westchnienie, ciężko przez sen oddychającej piersi, nadlatuje gdzieś z głębi lasu szum drzew.

Chciałoby się przypaść do ziemi i objąć ją mocno, po dziecinnemu, rękoma, wyszeptać cichymi ustami: Mojaś ty, moja, moja jest.

Boruta.



Nowe książki.

Dr. Ludomir Sawicki. Geografia a Krajoznawstwo. Odczyt wygłoszony na posiedzeniu Towarzystwa Krajoznawczego w Warszawie dnia 10 listopada 1909 roku. Odbitka z „Wszechświata”. Warszawa. 1909.

Pojęcie o krajoznawstwie, jako o nauce samodzielnej, jest u nas dotychczas nieustalone, to też i poglądy na treść jego oraz na stosunek do nauk pokrewnych są niekiedy bardzo rozbieżne.

O spory i zwady zwykle najłatwiej na granicach sąsiedzkich, to też nic dziwnego, że najczęściej kwestie spornych, wywołujących jednostronne niekiedy zdania i sądy przy omawianiu treści krajoznawstwa, następcza się przy przeprowadzaniu linii granicznej od strony najzamożniejszego sąsiada—od geografii.

Bardzo umiejętnie pługiem swej wiedzy rozgraniczył te dwie sąsiedzkie dziedziny w omawianym odczycie dr. L. Sawicki.

Rozpatrzywszy w krótkości treść, zadania i metody geografii ogólnej, autor wskazał na istotę pojęcia krajoznawstwa i zwrócił uwagę na jednostronność poglądów tak tych uczonych, którzy całą naukowość i „rozumowość” radziły przypisać wyłącznie geografii, krajoznawstwo zaś uważają za luźny zlepek surowych materiałów, jak i tych, którzy geografii odmawiają wszelkich praw do tytułu nauki samodzielnej.

Na łamach „Ziemi” na temat stosunku krajoznawstwa do geografii, oraz do innych nauk, zabierają głos różni geografoi i krajoznawcy, reprezentujący bardzo różnorodne niekiedy poglądy; dla zachowania „punktu równowagi” przy zestawianiu tych poglądów radzibyśmy polecić czytelnikom „Ziemi” odczyt d-ra Sawickiego.

K. K-ć.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

✚ Łódźki Rozwój drukuje ciekawe dokumenty historyczne z czasów Mikołaja I. W tym czasie burmistrzem Łodzi był niejaki Tangerman. Działacz ten, uznając, iż nazwa „Łódź” nie dość mile brzmi dla rosyjskiego ucha, zaproponował zastąpić ją nazwą „Nikołajew”. Administracja ówczesna z zapalem przyjęła ten świetny projekt rosyjskiego Niemca, lecz Mikołaj I uznał wystąpienie o zmianę nazwy miasta Łodzi za niezastępowalne na uwzględnienie.

✚ Lublin posiada już „pomnik grunwaldzki”. Jest nim kościół po-wizytkowski, przy ul. Namieśnikowskiej. Król Władysław przystał na część jeńców krzyżackich na zamek w Lublinie, aby budowali świątynię na pamiątkę zwycięstwa grunwaldzkiego, pod wezwaniem N. Panny Maryi Tryumfującej. Budowa trwała od roku 1412 do 1426. Następne wieki wniosły poprawki



tak do wnętrza kościoła, jak i do architektury kopulek, ale całość, a głównie stylowa fasada, została bez zmiany. Ziemia lubelska porusza myśl wmurowania w ściany kościoła tablicy pamiątkowej.

† O upadku Suchedniowa korespondent Kur. Warsz. donosi co następuje:

Suchedniów jeszcze przed kilku laty był siedliskiem centralnem władz górnictwa krajowego, a w sąsiednich wioskach: Bzinie, Mostkach, Parszowie, Rejowie i odległej o kilka mil Sielpi bezustannie warczały warsztaty wielkich pieców, stalowni i odlewni.

W Rejowie ostatni raz przed trzema laty wyrabiano płyty żelazne do reparacji mostu na Wiśle w Warszawie, tutaj również setki robotników znajdowało uczciwą pracę i kawałek chleba. Dziś wszystko to należy do przeszłości, gdyż od chwili przeniesienia stąd biura górniczego do Warszawy i wydzierzawienia zakładów prywatnemu przedsiębiorcy ruch w fabrykach rządowych zupełnie ustał, a budowle górnicze chył się ku upadkowi tak dalece, że w niektórych miejscach już tylko ruiny z nich pozostały. Na miejsce fabryk rządowych powstała prywatna fabryka odlewów żelaznych pod dyrekcją pana Sztarkego, która zatrudnia około 500 ludzi dziennie.



† Muzeum Narodowe w Krakowie ogłasza co następuje:

Po reorganizacji Muzeum począł zaniedbywany przez dział biblioteczny powiększać się znakomicie i z biegiem lat urósł do poważnej bardzo księżnicy o trzydziestu paru tysiącach tomów. Złożyły się na nią księgozbiory E. hr. Czapskiego, dr. W. Lasockiego, A. Wołańskiego, L. Olszowskiego, hr. Starzeńskiego, W. Wdowiszewskiego i innych. Z liczby wymienionych ofiarodawców poczynili niektórzy pewne, usprawiedliwione zastrzeżenia. I tak oddał dr. Lasocki z Nałęczowa piękny swój księgozbiór z warunkiem, że najpóźniej z początkiem 1910 r. będzie mógł z niego korzystać szeroki ogół. Ażeby warunkowi temu uczynić zadość—otwarta została z początkiem stycznia 1910 r. w Muzeum Czapskich przy ul. Wolskiej publiczna czytelnia. Dyrekcja, przyjmując warunek ofiarodawcy, miała prawo liczyć, że wraz z pozyskaniem nowego i obszernego lokalu na Wawelu będzie miała gdzie pomieścić bibliotekę wraz z czytelnią. Tymczasem sprawa Wawelu odwle-

ka się. Wobec tego postanowiła dyrekcja zrobić to, co w danych warunkach dało się wykonać, t. j., uporządkowawszy i skatalogowawszy książki do XVIII. w. włącznie, oddaje bibliotekę do użytku publiczności. Dzieła nowsze, mianowicie cały XIX w. nie mogły i nie mogą być na razie z powodu braku miejsca uporządkowane i używalne, ale dział ten jest w bibliotece muzealnej słabo reprezentowanym i w tym względzie lepiej mogą publiczność obsłużyć inne krakowskie biblioteki: Jagiellońska, XX. Czartoryskich i Muzeum techniczno-przemysłowego. Nadto biblioteka Muzeum narodowego ma i będzie miała zawsze charakter muzeum książek, starych druków i opraw i ten jej charakter nie powinien się zmienić. Z nowej publicznej czytelnii będzie mogła korzystać tylko nader ograniczona liczba pracowników. Z tego powodu dostępną ona będzie—póki się stosunki nie zmienią na lepsze—za poprzedniem porozumieniem się z dyrekcją Muzeum narodowego, w którym to celu każdy kompetent obowiązany jest do dyrekcyi się zgłosić i określić zakres zamierzonej przez siebie pracy.

† Lwowska „Gazeta Narodowa” przynosi ciekawe cyfry, dotyczące wzrostu siły Żydów wśród ziemian w Galicyi i rzucające światło na stosunki-gospodarcze tego kraju.

Dopiero w roku 1868 pozwolono w Galicyi żydom nabywać ziemię. Zaledwie rok upłynął od chwili wejścia w życie ustawy, a już 38 wielkich majątków przeszło w ręce żydowskie; w dwa lata później było w ich posiadaniu 68 wielkich majątków, w roku 1873 już 289, w r. 1899 aż 680, a obecnie żydzi wykupili już 35 procent ziemi w Galicyi, a drugie tyle wzięli w dzierżawę, czyli połowa z górą wielkiej własności obecnie jest w rękach żydowskich. Na 2000 wielkich majątków ziemskich w Galicyi 1100 znajduje się w rękach żydowskich.

Od Administracyi.

Z powodu niemożności załatwienia formalności pocztowych przed dniem 1 Stycznia st. st. znacznej części naszych czytelników prowincjonalnych byliśmy w możności pierwsze 3 numery „Ziemi” rozesłać dopiero w bieżącym tygodniu. Za opóźnienie, acz nie z naszej winy, najmocniej przepraszamy.



TREŚĆ: *Zygmunt Gloger*—„O potrzebie słownika imion własnych”; Dwory, zamki i pałace—2 „Dwór w Ubielu” (z 1 ilustr.); *Wład. Gorczyński*—„O pożytku i sposobie prowadzenia spostrzeżeń deszczowych” (z 2 ilustr.); „Chodel” (z 2 ilustr.); *G. Smólski*—„Lud Polski na Górnych Węgrzech”; *St. Thugutt*—„W obozie nieprzyjaciół. III”; *Boruta*—„Gawędy Krajoznawcze. II”; Nowe książki. Kronika Krajoznawcza. Od Administracyi. Ilustracja po za tekstem „Brama zamkowa w Białej Podlaskiej”.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera i S-ki—Składał i łąkał Stefan Turobojski—Odbijał na maszynie Weleryan Szlicht—Kliske wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwieć.**